

# Rafał Dębski

## Serce teściowej

Nie myśl sobie tylko, że tkwię tutaj ot, tak sobie, że to tylko głupi wypadek, który spotkał nieuważnego wędrowca. Wszystkiemu winna jest moja teściowa. Naprawdę! Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. Siedziałbym w ciepłej chałupie i bawił dzieci. Gdyby nie ta zołza, miałbym w ogóle czas i możliwość dochować się potomstwa...

Nigdy nie przepadaliśmy za sobą. To czarownica. I nie traktuj moich słów jako objawu czystej niechęci – ona naprawdę jest czarownicą, i to wysoko kwalifikowaną, dyplomowaną specjalistką od demonologii. A ja czarownic nie cierpię jak zarazy. No bo nikt chyba nie lubi budzić się o świcie z odorem gnojówki w nozdrzach i świńskim ryjem nad głową tylko dlatego, że ukochana mamusia żoneczki zobowiązała jakiegoś żalosnego demonika dwudziestego rodzaju, żeby regularnie przeprowadzał zięcia do chlewa!

To przez jej złośliwość tułam się po świecie w poszukiwaniu czegoś, co zapewne w ogóle nie istnieje.

Tak, dobrze słyszysz, tułam się właśnie przez tę zgragę! Jeśli chcesz, dobry człowieku, mogę opowiedzieć, jak do tego doszło. Zdamę dokończyć historię, zanim wypłaczesz mnie z tej obrzydliwej sieci. Że też w twoich stronach – bo stąd przecież pochodzisz? – tak myślałem. Że też w twoich stronach żyją takie obrzydliwe pająki. I że też opłaca im się pleść takie wielkie sieci, że krowę by w nie złapał! Ewolucja, powiadasz? Może i ewolucja, nie słyszałem o takiej. Musi być z niej kawał cholery, skoro wynalazła owe bestie. A teraz posłuchaj, drogi wybawco, co spowodowało, że znalazłem się na samym krańcu świata, bo musisz wiedzieć, że twój kraj jest dla mnie i moich ziomków tak odległy, jak dla ciebie, dajmy na to... no co... bo ja wiem? Diabli, w końcu nie jestem kartografem! Odległy jest i już! I ten ciągły szum... Ach, powiadasz, że to wielki wodospad? Czyżby właśnie tutaj morza i oceany świata wlewały swe wody do nieskończonej, bezdennej otchłani? Widziałem kiedyś rycinę, która przedstawiała właśnie takie miejsce. Malarz zaklinał się na wszystkie świętości, że rysował z natury. To zwykły wodospad? Na pewno? Nie musisz przede mną niczego ukrywać. Nie takie rzeczy widziałem podczas tułaczki. Dobrze, nie podnoś głosu. Skoro mówisz, że wodospad, niech i tak będzie.

Tylko dlaczego słycać go w całym kraju? Tak, już opowiadam moją historię, nie musisz się niecierpliwić.

Pecha miałem bodaj przez całe życie. A najgorsze, że ten mój pech na początku zawsze miewał piękne i pociągające oblicze. Takie, jakie miała chociażby dla przykładu owa kurewka Meredith, która przy bliższym poznaniu okazała się mężczyzną i dokonała mego rozprawiczenia w sposób zgoła inny niż oczekiwałem. Niżby ktokolwiek oczekiwał na moim miejscu. Wszyscy chłopcy mi zazdrościli, kiedy do miasteczka uroczyście przybył objazdowy burdel. Upatrzyła mnie sobie przecież najpiękniejsza prostytutka – Meredith właśnie. O mało nie pękłem z dumy, włączając za nią do wozu... I o mało nie spłonąłem ze wstydu, wychodząc.

Podobnie układał się mój los od najwcześniejszych lat, dopełnił się w chwili, gdy wstąpiłem w związek małżeński.

Nie, skąd, co ci chodzi po głowie! Moja żona jest jak najbardziej normalną niewiastą! Nie zasmakowałem bowiem w gorzkim owocu, którym mnie uraczyła... uraczyła Meredith. Czy wszystko z żoną jest jak należy, sprawdziłem zapobiegliwie jeszcze przed ślubem.

Było, i to jeszcze jak! Tak w ogóle dobra z niej niewiasta, nie mogę powiedzieć. Kochamy się i w ogóle... W tym przypadku pech przybrał nadobne oblicze teściowej. Na pierwszy rzut oka rzekłbyś – anioł. Szczere, piękne oczy, wiotka kibić, wdzięczna postać. Wyglądała raczej na siostrę mej żony niż matkę. I to siostrę doprawdy niewiele starszą. Wyłaziłem z siebie ze szczęścia, że będę miał pod dachem dwie tak piękne kobiety... Szeptali ludzie po kątach, że ze starej jest wiedźma, ale kto by tego słuchał, gdy zakochał się niby indor we własnym odbiciu w kałuży. A poza tym wiedźma... Każda teściowa to wiedźma, tak się przyjęło, tak zawsze wszyscy mówią, więc brałem to za zwykły... jak to się mówi... epitet? Ach, właśnie, epitet, dzięki dobrodzieju! Rychło się jednak miałem przekonać, że – owszem – ludzie są złośliwi i mają ostre języki, potrafią każdego oszkalować, ale zawsze trzeba doszukiwać się w tym gadaniu ziarna prawdy.

Zaczęło się już w dniu ślubu, przed kościołem. Teściowa kategorycznie odmówiła wejścia do środka. Twarz miała spoconą, rysy wykrzywione, trzęsła się jak w febrze. – Oj, jakby bies w mamusię wstąpił – zauważyłem niefrasobliwie. – Dzień zimny taki, a od mamusi żar bije niby z rozgrzanego pieca.

Wiem, wiem, nie jestem zbyt bystry. Nigdy nie byłem. Przecież nawet dziecko by się domyśliło, w czym rzecz, ale nie ja, oszołomiony w dodatku szczęściem i przepelniony życzliwością dla całego świata. Zdziwiłem się tylko przelotnie, że oczy teściowej zaśniły czerwono, a palce zakrzywiły się niczym krogulcze szpony.

Od tamtej pory co najmniej dwa razy w tygodniu budziłem się w świńskim korycie. O innych złośliwościach tej wiedzy nawet nie chcę wspominać. Jak choćby o tym, że wszelkie okoliczne ptactwo z wielkim upodobaniem i bardzo pracowicie obsrywało mi głowę. Albo jak duszony w śmietanie szczupak użarł mnie znienacka w palec podczas kolacji. To wszystko drobnostki. Ale były i rzeczy znacznie poważniejsze.

Wystaw sobie, dobroczyńco mój, że nie mogłem spokojnie wypić niczego mocniejszego niż sok jabłkowy. A w moich okolicach, kto nie pije należycie, ten nie ma czego szukać w porządnym towarzystwie. Teściowa dla pognębienia mnie przyzwała osobnego demona. Niegodziwiec ten czuwał bezustannie i czyhał na najdrobniejszy przejaw chęci spożycia przeze mnie jakiegokolwiek napitku przyjemniejszego niż woda. Wyskakiwał wtedy spod ziemi, błyszcząc, grzmiąc i hucząc, odbierał trunek, by wypić go samemu. Gorzej jeszcze działało się, gdy sobie ów piekielny stwór podchmielił, albowiem zdarzało się, iż musiał interweniować kilkakrotnie, gdyż próbowałem mimo wszystko jednakowoż wlać w gardziel to czy tamto. Wówczas potrafił pozbawić wina, piwa i okowity także moich współbiedniaków. Alkoholik zawołany był z tego demona. Pijak i złodziej.

Nic zatem dziwnego, że nie byłem zbyt popularną postacią w swojej wsi, a przyjaciele odwrócili się całkiem ode mnie.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. I, jak zwykle w moim parszywym życiu, zaczęło się niewinnie. Więcej – zdawało się, że może być już tylko lepiej. Pewnego pięknego dnia żona przybiegła do domu z policzkami mokrymi od łez.

– Co za nieszczęście – krzyknęła od progu, po czym z łkaniem rzuciła się na łóżko.

Zmartwiałem. Cóż takiego mogło się wydarzyć? Minęło ładnych kilka chwil, zanim wydobyłem ze zrozpaczonej kobiety zrozumiałe słowa.

– Co za tragedia, mamusia jest w wielkim kłopotcie! No cóż, tarapaty teściowej są małymi, skrytymi, ale słodkimi radościami każdego zięcia.

Nie powiedziałem jednak nic, słuchając pilnie, co też się takiego wydarzyło.

– Kapituła zakonu wytoczyła mamusi proces o nadużywanie czarów i działalność na szkodę zgromadzenia.

Kara za to jest straszliwa! Najgorsza z możliwych, tak mi powiedziała mamusia...

Pokręciłem głową.

– A co takiego twoja matka przeszkrobała?

– No wiesz? – Żona aż sapnęła z oburzenia. – Jak w ogóle możesz mówić o mamusi, że coś przeszkrobała!

– Co więc zrobiła, że wytoczono jej proces?

– Nie wiem. – Znów ujrzałem fontanny łez tryskające z przepięknych chabrowych oczu.

Koniec końców okazało się, że jednak wie. Teściowa bez zezwolenia Rady Najwyższej oraz Kapituły Zakonu Niewiast Znających łyknęła pokątnie eliksiru młodości, co stanowi poważne wykroczenie przeciw regule. Ale to jeszcze nie wszystko. Mamusia mojej żony nigdy niczego nie robiła połowicznie... Przepraszam, czy mógłbyś bardziej uważać z tym ostrym narzędziem? Biorąc pod uwagę moje szczęście, wraz z pajęczyną możesz pozbawić mnie paru ważnych organów. O tak, spróbuj może ciąć nieco dalej.

Jak już mówiłem, teściowa niczego nie robiła połowicznie.

Zawsze postępowała zgodnie z zasadą „jak kochać to na zabój, jak kraść, to miliony”. Nie dość, że wypłała nielegalnie ten eliksir, to na dobitkę – żeby mieć pewność, iż produkt jest najlepszego gatunku – uszczknęła go z prywatnych zapasów samej Mistrzynie Ziół, najbardziej wpływowej czarownicy w Radzie.

A to już, według ich reguły, traktowane jest jak zbrodnia.

– Co jej właściwie grozi? – Próbowałem przebić się przez płacz żony.

Nie wiedziała. Ale na wyjaśnienie tej kwestii nie trzeba było długo czekać. Pojawiło się wraz z szanowną osobą teściowej. Ależ była wściekła! Kiedy na mnie spojrzała, zrobiło mi się gorąco w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa. Gdyby jeszcze chwilę zatrzymała na mnie wzrok, moja koszula z pewnością stanęłaby w płomieniach.

– Dobrze – warknęła, odwracając oczy. – Skoro tak musi być, to proszę!

Ledwo złapałem przedmiot, którym we mnie cisnęła.

Była to ozdobna, pięknej roboty flaszeczka, wypełniona burą, bulgocącą cieczą.

– Co to jest? – spytałem, zdumiony.

– Co to jest, co to jest! – Przedrzeźniała mnie, a z jej oczu dosłownie sypały się snopy iskier. – To moja kara, ot co! Duch w butelce dla kochanego zięcunia!

Przyjmujesz dar?!

Spróbowałbym odmówić! Widziałem, że jest gotowa na wszystko, a to, że w ogóle musiała się do mnie odezwać stanowi dodatkową, niewysłowioną katuszę. Była skrajnie zdesperowana, a z takimi lepiej nie zadzierać. Zresztą, jakby na to nie spojrzeć, dar był bardzo cenny.

– Przyjmuję.

– To dobrze. – Wyraźnie jej ulżyło. W tym momencie pożałowałem, że nie byłem twardszy. Może gdybym odmówił, kara byłaby znacznie surowsza i jeszcze bardziej dotkliwa? Teściowa jednak już się odwróciła na pięcie i wyszła, wyładowując całe niezadowolenie na drzwiach.

Okazało się, że wyrokiem Kapituły została skazana na dwie kary – dyscyplinarną w postaci degradacji do rangi młodszej adeptki sztuk oraz zwyczajową, polegającą na obdarowaniu bardzo cennym przedmiotem osoby najbardziej znienawidzonej. Z początku próbowała wmówić trybunałowi, że takim człowiekiem jest sołtys, którego zresztą faktycznie nienawidzi jak parszywego psa, ale jednak trochę mniej niż mnie. A czarownice niełatwo oszukać, nawet jeśli jest się jedną z nich. Dzięki temu stałem się posiadaczem niezwykle cennej rzeczy. Butla stała na półce przeszło tydzień, zanim dojrzałem do decyzji. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, a przede wszystkim, czy jednak nie kryje się w prezencie jakiś podstęp. Z czasem obawa słabła, a ciekawość brała górę. Ostatecznie szalę przeważyło zdanie żony.

– Zrozumże, jełopie, że mamusia może chcieć zrobić krzywdę tobie, ale na pewno nie mnie! Niemożliwe, żeby to, co jest w butli, było w jakikolwiek sposób groźne! W końcu się przemogłem. W niedzielny poranek, odczekawszy, aż wszyscy sąsiedzi udadzą się do kościoła,

bo to przecież nigdy nic nie wiadomo, zerwałem pieczęć z korka, po czym wybiłem go, uderzając w spód butelki nasadą dłoni. Pochwyciłem przy tym niechętnie spojrzenie żony – wyraźnie nie przypadła jej do gustu wprawa, z jaką obchodziłem się z flaszką. Ledwo korek wyskoczył, w naczyniu coś zabułgotało, oślepiająco błysnęło, zagrzmiało i zaśmierdziało. Mój przyjacielu, gdybyś wiedział, jak te wszystkie demony okropnie śmierdzą...

Wprost nie do uwierzenia! Ten, który wytaskał się z butelki, wyglądał jak skrzyżowanie wielkiego psa z małą, świnią i diabli wiedzą, czym jeszcze.

– Czego?! – huknął, aż podskoczyły naczynia na stole, a spod powały sypnął się kurz.

– Czy – z trudem przełknąłem dławiącą kulę w gardle

– czy jesteś duchem z butelki?

– Co za pytanie – zarechotał grzmiąco. – A czy ty jesteś kompletnym idiotą?! Nie widziałeś, skąd wylazłem?! Pomiąłem pytanie milczeniem, a on ciągnął dalej:

– Nasiedziałem się w tym przeklętym szkłe tyle czasu, że gdybym ci o tym opowiedział, zwariowałbyś z niedowierzania! Poza tym jestem nerwowy, wyjątkowo złośliwy i nie cierpię ludzi, tym więcej, im dłużej byłem zamknięty! Wzruszyłem w duchu ramionami. Po co to mówić oczywistości? Wiadomo przecież powszechnie, że każdy demon jest nerwowy, złośliwy i nie cierpi ludzi. Siedzenie w butelce nie ma tutaj zasadniczo nic do rzeczy.

– Pytam jeszcze raz: czego?! – zagrzmiął. W ogóle wszystko, co robił i mówił, przypominało odgłosy burzy połączonej z solidnym huraganem.

– Chodzi, rzecz jasna, o spełnienie życzeń... – odparłem nieśmiało.

– A, o życzenia – wyraźnie się ucieszył. – A ile tych życzeń ma być?

– A ile można? – wtrąciła się moja żona.

– Z babami nie gadam – obruszył się demon. – Ty jak masz na imię, człowieku?

– Jan – odparłem odruchowo, nie bacząc na sykanie urażonej połowicy.

– No to mów, Janie, ile tych życzeń sobie życzysz, że pozwolę sobie na małą tautologię.

Co to jest ta tautologia nie wiedziałem, ale też i nie miałem zamiaru się zastanawiać.

– Zawsze myślałem, że tylko trzy – odpowiedziałem ostrożnie. – A może być więcej?

– Jasne! – wrzasnął radośnie. – Skolko ugodno! Od tej chwili to ty decydujesz o ich liczbie!

– A jeśli powiem dziesięć?

– Może być dziesięć.

– A jeśli powiem dwadzieścia?

– Niech będzie dwadzieścia.

Żona się przysłuchiwała się naszej rozmowie oszołomiona, z rosnącym niedowierzaniem.

– A trzydzieści? – odważyłem się po raz kolejny podnieść stawkę.

– A co mi tam, niech będzie, nie krępuj się! Stanęło na pięćdziesięciu. Bałem się, że duch w końcu straci cierpliwość. Pomyślałem w tamtej chwili, że matka mojej żony otrzymała zaiste straszliwą karę – tak uposażyć znieawidzonego człowieka...

– Pięćdziesiąt? – upewnił się jeszcze demon.

– Pięćdziesiąt – potwierdziłem zadowolony.

– Stoi?

– Stoi.

– W takim razie – powiedział powoli, z namysłem – na początek naszej owocnej, mam nadzieję, współpracy, życzę sobie, żebyś...

Tak, tak, wybawco, podszedł mnie, a raczej podeszli razem z teściową. Umowy z demonami należy zawierać bardzo, ale to bardzo ostrożnie, zważając pilnie na wszelkie te, no... sztuczki semantyczne oraz pułapki logiczne, do jakich niezwykle chętnie się uciekają. Gada się z nimi zupełnie jak z adwokatami – doskonale znane ci słowo może w ich ustach oznaczać coś zupełnie innego. Jednak do tego trzeba posiadać ogromną wiedzę, a ja nigdy do nauki się nie garnąłem, zresztą nie miałem po temu sposobności. Dziad był szewcem, ojciec był szewcem, więc i ja – siłą rzeczy – zostałem skazany na uprawianie tego rzemiosła. Jak widać, w starciu z duchem nie miałem najmniejszych szans. Tyle że do tego wniosku doszedłem poniewczasie.

Teraz, dobroczyńco, jeśli obetniesz tę odnogę sieci, powinienem być wreszcie wolny. O, właśnie tak. Może jeszcze tu... Znakomicie! Dzięki ci, panie, za pomoc. Poszło o wiele szybciej niż przypuszczałem. Tak, oczywiście, jeżeli chcesz, jeśli moja opowieść zaintrygowała się do tego stopnia, że jesteś gotów poświęcić mi jeszcze odrobinę swego cennego czasu, chętnie dokończę tę historię. Nie zamierzam rozwodzić się nad wszystkimi upokorzeniami, których przysporzyło mi spełnianie życzeń demona – a muszę stwierdzić, że mówił prawdę, iż jest wyjątkowo złośliwy. Opiszę ci jedynie kilka ciekawszych zdarzeń oraz opowiem, oczywiście, co zagnało mnie w te strony... A propos, ten wszechobecny szum, to naprawdę tylko wodospad? Na pewno nie jesteśmy na krańcu świata? Dobrze już, nie irytuj się, zbawco. Już wracam do opowieści.

Stałem pewnego dnia z szeroko rozdziawionymi ustami pod ceglany murem i z pewnym takim niepokojem obserwowałem zgromadzonych naprzeciw mnie ludzi. Oni z kolei patrzyli na mnie z wielkim niedowierzaniem. Zapewniam, że wszyscy mieliśmy ku temu uzasadnione powody – ja do niepokoju, a oni do niedowierzania. Stałem bowiem nie tylko z rozdziawionymi niczym u młodego gawroniaka ustami, ale i ze sporym jabłkiem, a ludzie z naprzeciwka dzierżyli w dłoniach tęgie łuki oraz wiązki strzał. Nie od rzeczy będzie przy tym dodać, iż wzmiankowane jabłko tkwiło nie gdzie indziej, jak w moich, jako się rzekło, szeroko otwartych ustach.

Łucznicy naradzali się między sobą, w końcu dwóch podeszło do stojącego opodal sędziego.

– Mamy strzelać do tego człowieka? – Doleciał do mnie podniesiony głos.

– Nie do człowieka, a do jabłka – odparł sędzia beztrąsko.

– W tym wypadku, o ile mnie wzrok nie myli, na jedno wychodzi – oburzył się rostry strzelec. – A z oczami, chwalić Boga, nie mam problemów. Czy to może jakiś skazaniec? Jeżeli tak, oddajcie go katu, a nie każcie nam wykonywać wyrok podczas porządnego turnieju.

Sędzia wzruszył ramionami.

– To nie skazaniec, a stoi tam, gdyż sam się zgłosił. Jeżeli chcecie, możecie go zapytać. Ma pewne zobowiązania wobec jednego z członków naszego bractwa. Tak właśnie owe zobowiązania wypełnia.

Łucznicy podeszli do mnie.

– Zali to prawda, jakobyś sam zgłosił się, by służyć za cel? – spytał ten rostry.

Skinąłem niepewnie głową. Milczeli dłuższą chwilę, zupełnie skonfundowani. Najwyraźniej nie spodziewali się aż tak głupiej odpowiedzi. Nagle jeden stuknął się w głowę, olśniony pomysłem.

– Ale powiedz szczerze, człowieku, wolałbyś w tej chwili znajdować się gdzie indziej?

Tym razem kiwałem głową z prawdziwym zapałem, mało mi jabłko nie wypadło. Znowu poszli pertraktować z sędzią. A miał on oblicze dziwnie przypominające skrzyżowanie fizjonomii małpy, świni i psa.

Wystawiać będę do końca życia bystrość i szlachetność panów łuczników! Tylko dzięki ich wielkim sercom, które potrafiły zrezygnować z pokusy iście sowitej nagrody, zawdzięczam to, że mogę dziś z tobą rozmawiać.

Demon był wściekły. Jako następne zadanie polecił mi sporządzić kolczugę z kółek tak drobnych, że gdyby je uczyniono choćby tylko ciut mniejszymi, trudno by było dostrzec prześwit w obręczy. Jak łatwo się domyślić,

spędziłem nad tą robotą lata. Dodajmy – najlepsze lata młodości. Tym dłużej to trwało, że przeklętnik nakazał każde kółko nie tylko zamykać dwoma nitami, ale i lutować. Jak to się mówi – dwa grzybki w barszczu.

Nawet z czasem polubiłem to mordercze zajęcie.

Miałem przynajmniej święty spokój, a praca przynosiła mi radość. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem, jak delikatny pancerz zyskuje kształt i urodę. Wreszcie ukończyłem zadanie.

– Piękna – ocenił z zadowoleniem demon. Usłyszałem w jego słowach prawdziwy zachwyt, który sprawił mi niespodziewanie ogromną radość.

– Dziękuję – bąknąłem skromnie. – To drobiazg...

– Drobiazg? – zdziwił się. – Skoro tak...

Pstryknął widmowymi palcami, a moje dzieło rozpadło się z powrotem na tysiące kółeczek.

– W takim razie, skoro to takie nic, zrobisz ją od początku.

Tylko tym razem porządnie, z zaangażowaniem, żeby ci się nie wydawało, że to był spacer po lesie!

– Jezu Chryste!

– Milcz! – wściekł się. – Nigdy nie wymawiaj przy mnie tego imienia. Chyba że chcesz dostać po pysku!

– Czy to ma być kolejne życzenie? – spytałem przebiegle.

– Tak! – był coraz bardziej wzburzony. – I dobrze o tym wiesz! Ale strzeż się. Zostało tych życzeń jeszcze tyle, że spokojnie zdążę cię zgnoić!

Miał rację, a ja przeklinałem swój miłą rozum i zbyt długi jeźor. Kiedy złożyłem nieszczęsną kolczugę po raz drugi, mój prześladowca sprzedał ją za ciężkie pieniądze niejakiemu królowi Rodrygowi, wmawiając mu, że jest to sławne dzieło elfów, jakiś mędryl czy mindryl... może mandryl... A, masz rację, mithril. Też słyszałeś o czymś takim? No proszę. Przypłaciłem ciężką, podwójną pracę własnym zdrowiem. Od tamtego czasu stałem się – jak to powiadają – krótkowidzem. Dlatego też nie dziw się, iż nie dostrzegłem zrazu tej wielkiej pajęczej sieci.

Zdarł ten przeklęty duch z władcy siódmą skórę. Bo poza złośliwością, nerwowością i niechęcią do rodzaju ludzkiego demony odznaczają się jeszcze niesamowitą, wprost nieziemską chciwością. Gromadzą te swoje skarby nie wiadomo po co, bo to ani tego nie przeje, ani nie przepije, ani z dziewczkami nie przehula, a tylko zmartwienie, żeby kto skarbcza nie odkrył. Zaś kiedy jakiś człowiek szczęśliwie dostanie się do kryjówki i uszczknie trochę z nieprzebranych dóbr, demon wścieka się tak, że próbuje poruszyć niebo i ziemię, by odnaleźć i ukarać śmiałka.

Ponoć od tego właśnie powstają najbardziej niszczycielskie burze, huragany, pożary i powodzie. Chciwość zaś mojego demona przechodziła wszelkie granice. Za dodatkową, muszę podkreślić, iż drobną, opłatą, wynajął królowi moją osobę do zrobienia porządków w alkowach królowej Zenobii. Pięknej Zenobii zwanej przewrotnie Czyścioszką z powodu dość niewielkiego zainteresowania dla spraw szeroko pojętej higieny.

Powiadają ludzie, że to cecha dziedziczna w tej dynastii i niech mnie diabli porwą, jeśli nie ma w tym racji! Jak zapewne słyszałeś, alkowy tamtejszych królowych Zenobii są w istocie rzeczy osobnym pałacem, położonym w bezpiecznej odległości od głównej siedziby monarchy. Od wieków gromadzi się tam znoszoną bieliznę kolejnych wysoko urodzonych dam królewskiego domu. Prawo w tamtym kraju zabrania niszczenia lub chociażby prania tych... jak to się mówi... imponderabiliów. Ma to ponoć związek z jakąś przepowiednią. Czy była takowa, czy nie, każdy pretekst jest dobry, żeby sobie poleniuchować.

Jednak Rodryg, wielki reformator, wbrew wszystkim i wszystkiemu postanowił zrobić wreszcie z tym porządek. A robienie tegoż przypadło w udziale właśnie mnie. Nikt przedtem nie zgodził się podjąć takiego, iście herkulesowego, wysiłku. Za żadne pieniądze.

– Jak już posprzątasz, dodatkowa sowita nagroda cię nie minie – łaskawie oznajmił król Rodryg.

Tyle że nagroda w sposób naturalny miała mnie właśnie ominąć krótkim łukiem, by wpaść prosto w łapy demona... Stajnie Augiasza, powiadasz, mój przyjacielu? Mylisz się okrutnie! Stajnie Augiasza nie były z pewnością aż tak rozległe i panował w nich o wiele przyjemniejszy zapach! Żadna bowiem istota chodząca po ziemi nie wydaje z siebie tak potwornego smrodu, jak człowiek. Poza tym Herkules mógł sobie wykopać kanał, założyć ręce do tyłu i patrzeć jak wszystko robi się samo albo zgoła pójść na piwo. Ja ten rozdział życia nazywam Wielkim Praniem. Rodryg był bowiem reformatorem wielkim, ale jednakowoż nie na tyle odważnym, żeby nakazać spalić te obrzydliwe szmaty. O nie – musiałem je porządnie wyprać! Powiem tylko tyle, że od tamtej pory mój zmysł powonienia bardzo, ale to bardzo podupadł. I tu masz odpowiedź na drugie nurtujące cię pytanie – dlaczego nie wyczułem potwornego smrodu, jaki wydaje sieć pająka olbrzyma. Gacie zaś i wszelkie inne elementy garderoby osobistej do dziś straszą mnie w sennych koszmarach. Nabrałem do nich takiego obrzydzenia, że przestałem nosić majty...